Nr. 56 BIBLJOTECZKA Nr. 56
HISTORYCZNO - GEOGRAFICZNA

AURELJA WYLEŻYŃSKA

Biała Czarodziejka

Nie kłamać — bawiąc. *Nie nuc… ucz…*

RÓJ

T-wo Wyd. „Rój", Warszawa, Kredytowa
Konto czek. P. K. O. 9880.

Prenumerata kwartalna za kwartały bieżący i ubiegłe wynosi 3 zł. za 13 książeczek wraz z odesłaniem do domu. Pojedyńcze tomiki cyklów lub ze spisu (patrz str. 3-cią okładki) wysyłamy po otrzymaniu 30 gr. na książkę i 20 gr. na koszta przesyłki, niezależnie od wysyłanej ilości tomików. Można nadsyłać znaczkami.

Tow. Wyd. „RÓJ“,
Sp. z ogr. odp.

Warszawa, Kredytowa 1,
P. K. O. 98-80.

Zakłady Drukarskie F. Wyszyński i S-ka—Warecka 15.

DZIECIŃSTWO I PIERWSZA MŁODOŚĆ.

Urodziła się w Warszawie, 7 Sierpnia, 1822 r. Ojcem jej był hrabia Fryderyk Nesselrode, a matka Tekla Nałęcz Górska.

Dlaczego matka jej młoda dziewczyna, anielsko piękna, gorąca patrjotka i żarliwa katoliczka, wyszła za mąż za szefa zandarmerji rosyjskiej, niemca z pochodzenia, rosjanina z urzędu, wolterjanina z przekonań — nie wiedzieć—a najpewniej z tego powodu, iż go pokochała. Ale bardzo żałowała tego kroku i nie mogła sobie nigdy przebaczyć zdrady narodowej. Gdy przyszła na świat córeczka, dziecko białe, różowe i tłuste, nie tylko nie zapomniała o szpetocie swego czynu, ale przeciwnie jeszcze go silniej odczuła i zrozumiała, że w tych warunkach nawet swego zadania matki dobrze spełnić nie potrafi. Lękała się na dziecko wpływu ojca, a nie czując się na siłach temu wpływowi przeciwdziałać, wpadła w lekką melancholję. Rozpustnemu i lekkomyślnemu szefowi żandarmerji nie uśmiechała się myśl pielęgnowania chorej Tekli i niańczenia malutkiej Marji, to też z wdzięcznością przyjął propozycję swej brato-

wej, żony kanclerza Nesselrode w Petersburgu, która ofiarowała się do swej gromadki, wziąć jeszcze siedmioletnią dziewczynkę, obiecując, że będzie ją za swoją uważać. Tak się też i stało. Różnicy między własnemi dziećmi a przybranem dzieckiem nie czyniła ani ona, ani jej mąż a nawet duchową sierotkę stryjostwo więcej od swoich pociech pieścili. Pewno dlatego, że była dziwnie ładna, miła, sprytna i zdolna. Szczególnie do muzyki. Najlepsi ówcześni nauczyciele dawali jej lekcje i unosili się nad talentem jasnowłosej dziewczynki. Wśród tych nauczycieli, może też była Marja Szymanowska, słynna pianistka, pierwsza kobieta, która po Europie jeździła z koncertami, miłość Goethego, matka żony Adama Mickiewicza i żony jego przyjaciela Franciszka Malewskiego.

Rodzina uwielbia talent młodziutkiej Marji i widzi w niej przyszłą wirtuozkę. Nietylko gra ślicznie, ale i komponuje. Ona, która kiedyś będzie jedną z najlepszych uczenic Szopena, już w Petersburgu, wygrywa na klawikordzie mazurki. Uczy się też gorliwie języków i posiada wszystkie europejskie mowy. Najgorzej jest z rodzimą. Nigdy biegle po polsku nie mówiła i na trudność tę nieraz się skarży. Rzecz prosta nie uczono jej polskiego, a z matką mówiła po francusku, bo tak się zawsze rozmawiało w do-

mu rosyjskiego kanclerza, niemca Nesselrode.

Wszystkie mądrości, wymagane od ówczesnych młodych dziewcząt z najlepszego towarzystwa podawane jej były przez pierwszorzędnych mistrzów, ale umysł ciekawy i bardzo żądny wiedzy tem się nie zadawala i Marja wciąż ubolewa, że ją źle i za mało uczą.

Ojciec rzadko przyjeżdża odwiedzać córkę, chyba gdy go do stolicy wzywają sprawy służbowe, natomiast matka spędza w Petersburgu długie miesiące. Ku wielkiemu utrapieniu rodziny kanclerskiej, która nie bardzo rozumie poetyczną duszę polki i boi się jej złego wpływu na Marję. Marja bowiem uwielbia matkę, i jej piękność, pobożność i niezwykłą dobroć, rozumie ją, bo sama z niej wiele wzięła: wdzięk obejścia, romantyzm wyobraźni, religijność nieco egzaltowaną.

W pierwszych latach młodości jej polskość na pierwszy plan występować musiała, bo cała rodzina nazywa ją „Marje la Polonaise" co nawet w Petersburgu, w epoce mikołajewskiej, nie było zbyt bezpiecznem imieniem.

Tak dobiega Marja lat 16-stu. Zna już życie ludzi i świat wielkości jego zachwycają ją, lecz bynajmniej nie dziwią. W Petersburgu obraca się wśród najwyższej arystokracji, bywa nawet na salonach cesarskich. Mieszka we wspaniałym

gmachu Ministerjum Spraw Zagranicznych, skąd okna patrzą na Zimowy Pałac, — lato spędza w pięknej willi na którejś z wysp Newy, lub jeździ z całą rodziną Nesselrodych, do modnego Badenu, gdzie poznaje świat artystów, inne władze —królestwo sztuki. W 1835 słyszy Liszta i nie może się uspokoić z radości i dumy, że słyszała znakomitego Węgra. Tak samo zresztą unosi się nad słynną włoską tancerką, Taglioni, którą raz widziała w Aniczkowskim pałacu, gdzie z iście „boską gracją" tańczyła kaczuczę. Za to dostała od cesarza piękną bransoletkę z turkusami i djadem brylantowy za 6 tyś. rubli.

Choć Marja jest piękna, pełna talentów i zalet, rodzina z niepokojem myśli ktoby ją wziął za żonę. Nie ma posagu. Ma tylko jasne bujne włosy, kibić wysmukłą i wyniosłą, ruchy królewskie, łagodne a wspaniałe i cudowne oczy. Nie miała czarnych, ani niebieskich, ani zielonych, ani siwych, z tej prostej przyczyny, iż były one fjołkowe. Fjołkowe, jak fjołki parmeńskie. Chowały się pod ciężką powieką śniące i rozmarzone. Wszyscy się nią zachwycali. Ledwie weszła w świat petersburski, już miała wielbicieli bez liku. Stary kanclerz, stryj nazywał ją syreną, lub śnieżną czarodziejką, bo była biała, niezwykle białą, nieomal przejrzystą jej skóra, rozkochani kuzynkowie chrzcili ją kolejno

imionami wszystkich romantycznych bohaterek i legendarnych postaci bajkowych, których, w tej epoce odrodzenia poezji ludowej, nie brakło. Towarzysko była bardzo wyrobiona, niezarozumiała, lecz nie nieśmiała, chętnie popisuje się swym talentem i gra na koncertach, naturalnie na cel dobroczynny. Raz nawet zasiadła do fortepianu w obecności rodziny cesarskiej i wcale się nie bała.

Marja zamąż chce wyjść. Nie dlatego, bynajmniej, że tęskni za miłością. Nawet o niej nie myśli, zajęta to swą pięknością, muzyką, i zachwytem jaki budzi, tylko że cięży jej rola kuzynki będącej na łasce bogatych krewnych. A przytem chciałaby żyć jakoś inaczej, niż dotąd. Byleby coś innego. Życie dotychczasowe wydało się jej bardzo długie i takie nudne. Pragnie zmiany. Jak każda dawniej dziewczyna widzi wyzwolenie jedynie w małżeństwie, nie przewidując i nie mogąc sobie nawet wyobrazić, że małżeństwo to przecież jeszcze cięższe okowy. Dla niej małżeństwo niesie ze sobą wolność czynienia co się chce i utrzymywania stosunków z kim się chce, możność podziału godzin dnia wedle własnej chęci, małżeństwo, to królowanie wśród uwielbiających ją mężczyzn, to noszenie piór na złotej koronie włosów, brylantów na białem łonie, kaszmirów na bardzo odsłoniętych ramio-

nach. To też, gdy się znalazł kandydat do ręki Marji, przez stryjostwo mile powitany, tego samego dnia po poznaniu go, wpada do pokoju kuzynek rozradowana.

— Wyobraźcie sobie, jestem prawie zaręczona.

— Jak się to stało? Opowiedz, zaraz opowiedz! Boże, jakie to zabawne!...

MAŁŻEŃSTWO I ROZCZAROWANIE.

Nie było to wcale tak zabawne jak myślały kuzynki, a nawet właściwie mówiąc było bardzo smutne. Marja wychodzi za mąż za Jana Kalergis, którego już sama postać była w rażącej, z jej piękną postacią, sprzeczności. Potomek greków nie miał w sobie nic ze starożytnego greka Mały, zasuszony, pomimo swych 25 lat, żółty jak cytryna, miał odpowiedni do swego wyglądu charakter. Był skryty, zacięty nie lubił ludzi, śmiechu i wesołości, a przedewszystkiem był szalenie zazdrosny. To też zaraz po ślubie, który odbył się w małej kapliczce w Ministerjum Spraw Zagranicznych, wywiózł żonę do Londynu. Miał on tylko jedną rzecz, której Marji brakowało, pieniądze, i to oczywiście na szali wyboru zaważyło. Ale jeśli chciał jej dać piękną oprawę, to tylko na to, by w tej opra-

wie jedynie dla niego jeszcze piękniejszą była. Po sześciu miesiącach życia w ukryciu, Marja chce znów wrócić do świata: wyrywa się do Badenu pod pozorem odwiedzenia bawiącej tam rodziny, a gdy to nie pomaga, swój wyjazd motywuje zdrowiem — na co mąż zgodzić się musi. Pobyt w Badenie był dla Marji szeregiem nieustannych cierpień. Kalergis czyni wszystkie głupstwa, jakie tylko zazdrość podyktować może, nie bacząc na poważny stan żony, nie bacząc na śmieszność swoją i na jej chęć łagodzenia zatargów, Doszło do tego; iż ten nowy Otello tak swej Desdemonie psuł życie, że postanowiła go opuścić. Nie pozwala mu towarzyszyć sobie w podróży do Petersburga, gdzie będzie oczekiwać przyjścia na świat dziecka, a nawet choć ono już jest, długo jeszcze nie pozwala stęsknionemu ojcu je zobaczyć. Gdy nakoniec Kalergis zjawia się nad Newą, rozciąga nad Marją istną sieć szpiegowską, co w stolicy carów nie było trudnem do przeprowadzenia i szaleństwo jego zazdrości jest takie, iż słusznie kanclerz mówi, że gdyby w romansie znalazły się podobne rzeczy, niktby temu nie uwierzył. Ale życie idzie zawsze dalej od romansu. To też nieszczęśliwy człowiek nagle sam sobie uświadomił co czyni, widząc, że miłość jego inaczej postępować nie może, zapro-

ponował żonie rozstanie, zabezpieczając jej 250.000 franków rocznej renty. Co jednak, jak ktoś słusznie zauważył, w 17 latach, nie jest do szczęścia wystarczającem.

Piękna dusza Marji wdzięczność za ten czyn umiała zachować. Nigdy się na męża nie skarżyła, a wiele lat potem, gdy córka jej za-mąż wychodzi, chce ojca w dobrych barwach przedstawić, winę rozłąki składając więcej na niedobór charakterów, na swą młodość, nie-doświadczenie i brak znajomości życia.

Śliczna, siedemnastoletnia separatka, z malutką, kwilącą w kolebce dzieciną, pozostaje nadal w Petersburgu pod opieką swych kuzy-nów. Boją się dla niej wyjazdu do Warszawy ze względu na ojca, który nie prowadzi zbyt budu-jącego życia i do Europy, ze zwględu na matkę, którą może gdzieś spotkać i której egzaltacja, na tak już egzaltowaną główkę, źle wpłynie. Zresztą jest ona taka młoda i taka piękna. Tak lgnie do artystów, i, o wiele jeszcze więcej, oni do niej lgną. Ale i w Petersburgu nie brak niebezpieczeństw. Serduszko Marji niespodzia-nie odezwało się po raz pierwszy. Książe De-midow, lew salonów północy, wzbudził w niej tak żywe uczucie, iż pragnie odzyskać wolność, aby go zaślubić. Chce się starać o rozwód, choć boi się o stratę córeczki i głęboka jej wia-

ra katolicka oburza się na zerwanie węzłów małżeńskich. Przez rok trwają wahania. Zwycięża je nie miłość do kościoła, ani przywiązanie do dziecka, tylko to, że młoda para przestaje się kochać. Demidow, okazał się, równie, jak Kalergis, gwałtowny i zazdrosny, a to Marji, która raz w niewoli tyrana przebyła, wystarczyło by zmienić uczucia i plany. Zresztą nigdy tego nie żałowała.

W WARSZAWIE. WOJAŻE WIELKIEJ DAMY.

Wśród tych perypetyj miłosnych dobiega Marja lat 20-stu i kuzyni muszą już jej dać swobodę czynów. Często jeździ do Warszawy i odwiedziny ojca, szefa żandarmerji rosyjskiej, miały zupełnie niespodziany wpływ na Marję. Zetknęła się w Warszawie ze społeczeństwem polskiem i obudziło się w niej poczucie narodowe, solidarność i współczucie dla prześladowanego kraju. Trudno naturalnie od Marji, wychowanej w kosmopolitycznem środowisku, wymagać zupełnego oddania się sprawie polskiej, ale w latach 40-ch sercem żywy udział bierze w ruchach i spiskach, w buncie przeciw narzuconej władzy. O ile mogła niosła też bezpośrednio pomoc prześladowanym, była ofiarna i w ideale Polski rozkochana. Znane są dwa

fakty, dość ciekawe i charakterystyczne: — Nesselrode mieszkał w pięknym pałacu Potoc- kich, na Krakowskiem-Przedmieściu, gdzie się też mieściły biura jego. Było to w 1846 r. Zja- wia się u Marji żona jednego z przywódców ruchu, Bronisława Dąbrowskiego, który był prześladowany przez policję i lada chwila gro- żiło mu aresztowanie, błagając o ułatwienie wy- jazdu zagranicę. Marja idzie do biura i każe służbowemu urzędnikowi wypełnić blankiet paszportowy na imię Dąbrowskiego. Wkrótce potem wykryto sprawczynię tego nadużycia i córce szefa żandarmerji, ks. Paskiewicz rozka- żał Warszawę opuścić. Fakt ten ku wielkiej rozpaczy stryja kanclerza, ze wszystkiemi swe- mi konsekwencjami, opisano w paryskim piś- mie „Constitutionnel". Tembardziej nie dało się zatuszować tej sprawy, że na Marji ciążyło już jedno podejrzenie. Jakiejś nocy posłyszała ona pukanie do swego okna. Pewna jej przy- jaciółka, polka skompromitowana wobec rządu i oczekująca w każdej chwili rewizji, prosi ją o przechowanie papierów. Gdzie może im być bezpieczniej, niż w mieszkaniu Nesselrode? Marja chętnie na prośbę jej przystaje — skła- da papiery na dnie pudła z kapeluszami i kła- dzie się spokojnie spać. Rano budzi ją ojciec — w towarzystwie niezbyt miłem — 60 polic-

jantów — którym pozwala zrobić rewizję. Doszły go wieści, że tu zostały przechowane pewne dokumenty, których napróżno oddaw· na poszukuje. Marja, niby nieco urażona podej· rzeniem, przystaje jednak na ten dowód nie· wiary. Policjanci ze specjalną przyjemnością buszują po pokoju pięknej pani: przetrząsając szuflady ślicznego biurka, szuflady pełne ró· żowych i niebieskich bilecików, przeglądają przejrzystą bieliznę i dziwują się drogim ko· ronkom, w szafach — oglądając suknie i szale, ba, nawet na tualecie, przekładając jeden po drugim, kryształowe flakony, pełne jakichś ta· jemniczych płynów. Tylko nikomu nie przyj· dzie na myśl zajrzeć do pudła z kapeluszami. Wiadomo — śmiałkom szczęście sprzyja. Stary wyga, szef żandarmerji. musi córkę ładnie prze· prosić i obiecać iż odtąd wierzyć jej będzie. Jak się okazało, wiara ta wkrótce go zawiodła i gdy Marja zmuszona była opuścić Warszawę, skarży się swym kuzynom!

— „Nie wiem co się jej stało. Zupełnie zwarjowała, zrobiła się więcej polką niż stary Lelewel i więcej katoliczką, niż sam papież. Naczytała się niepotrzebnych książek, wi· dzi wszędzie prześladowanie narodu i re· ligji."

Stary hrabia winę tych zmian zwala na

polaków, emigrantów, których w tym czasie spotykała piękna Marja zagranicą. W Paryżu poznała hrabiego Władysława Zamoyskiego i księżnę Marję Wirtembergską, w Rzymie przebywa wiele z Ojcami Zmartwychwstańcami, księdzem Semenenką i Jełowickim. A wszędzie gdzie się obróci — otacza ją rój młodych polskich magnatów: Potockich, Branickich, Potulickich, którzy starają się, nietyle by w sercu jej wzbudzić miłość do Polski, co by to zimne dotąd serduszko, rozgrzać ogniem swej miłości. Zresztą mało się to im udaje.

Z tego widzimy, że Marja pomimo opozycji rodziny zaczyna już swe podróże po Europie. I nie takie jak dotąd, w towarzystwie ciotki, stryja i całej litanji kuzynów i kuzynek, jedzie sama, z Marją Trembecką, którą jej ojciec za towarzyszkę wybrał. Panna Trembecka jest córką jenerała zabitego w powstaniu 31 r. przez swych rodaków, więc w oczach szefa żandarmerji, wyobraziciela obrońcy porządku. Jest ona bardzo nieładna, ale miła, dobra i ogromnie wykształcona, do Marji zaś szczerze i gorąco przywiązana. Z nią to, małą córeczką i jednym służącym, rozpoczyna Marja od roku 1843, swe po ówczesnym świecie wojaże. Tak wiele polskich dam czyniło. Jeździła z całym swym dworem piękna pani Bobrowa, kochan-

ka Zygmunta Krasińskiego, i miłość Juljusza Słowackiego, księżna Karolina Sayn — Witt-genstein, która przez długie lata była muzą Liszta, Delfina Potocka, co raz zjawiała się w Paryżu, to znów „błądziła nad jeziora włoskiem brzegiem„ i patrzyła na Alp granity", i wiele, wiele innych.

Nasze panie też tak ciągle zmieniają miejs-ce pobytu, iż trudno powiedzieć, gdzie kiedy goszczą. Chyba ustalić to można na podstawie listów miłosnych, do pięknej Marji pisanych. Zimę spędza na kuracji w Neapolu, latem zaś pije wody w ulubionem swem Badenie, gdzie ją „białą damą" nazywają, jest w Rzymie, to w Berlinie. Spieszy się na pierwsze przedstawie-nie Wagnera, jedzie na koncert Liszta, u Cho-pina uczy się grać, lub króluje w Prayżu, świecie artystów, poetów, dyplomatów lub panują-cych.

Miała w sobie coś z wędrownego ptaka. Przenosi się z miejsca na miejsce wiedziona cie-kawością poznania nowych krajów, nowych miast, nowych ludzi. A przedewszystkiem lu-dzi sławnych i takich co ją uwielbiać mogą. Jest w niej jakiś niepokój, jakby goniła po świecie chimerę, nawet nie wiedząc czego właściwie chce. To co miała, nigdy jej nie wystarczało, (czegoż więcej chcieć mogła?) bardziej niż o

wielkich, osiągniętych, myślała o małych, nieosiągniętych, pragnieniach. Niespokojna, ruchliwa, wciąż zmienna polska dusza matki, wzięła w niej górę. Ale to wszystko co było przyczyną, iż mając wszelkie dane do szczęścia, nietylko szczęśliwą, ale nawet zadowoloną nie była, stanowiło jeden z największych jej uroków. To nieopanowanie duszy, różnorodność nastrojów, obok wielkiej żywości mysłu, dobroci serca, głębokiej wiedzy, talentu, dowcipu i daru towarzyskiego czyniło z niej kobietę niezwykłą i budziło powszechny zachwyt.

„NIEUBŁAGANA BIAŁOŚĆ" I POETA.

W tych swoich po świecie podróżach, nie wiadomo dobrze gdzie we Florencji, przy grobie Medyceuszów, czy też wśród pomarańczowych gajów zatoki Neapolitańskiej, w każdym razie pod godnym jej niebem, poznała Marja Kalergis Cyprjana Norwida. I zaraz w rzędzie jej wielbicieli stanął, na skromnem, ale odrębnem miejscu, młody ten poeta, malarz i rzeźbiarz. Miał wówczas lat około 24, bo rzecz się działa prawdopodobnie w 1845 r. Był piękny i zyskał już sławę utalentowanego pisarza. Damy wielkiego warszawskiego świata w salonach których popisywał się swemi wierszami, udając

że odczuwają zawiłą myśl i rozumieją zbyt no-wą formę, po nad wszelką miarę unosiły się nad utworami wieszcza.

Wyjechał on z kraju wiedziony ciekawoś-cią poznania szerokiego świata, zobaczenia ar-cydzieł sztuki i natury. Wśród tych nieznanych mu dotąd piękności oczy jego uderzyła pięk-ność jasnowłosej pani, o profilu Minerwy, o o-czach jak fjołki drobne, „łatwo łzawiejących". która i to serce nanizała na różaniec serc zło-żonych sobie w dani.

Na razie miłość Norwida pełna uwielbie-nia, pełna młodzieńczej rezygnacji, mało była wymagająca. Wie on, że biała czarodziejka nie jest dla niego, więc woli do niej wzdychać zdaleka, niż mieszać się w tłum wielbicieli. I jakkolwiek lat kilka goni za nią po świecie, spo-tykając to w Berlinie, w Rzymie, Badenie, lub Paryżu boi się narzucać jej, która jest zawsze otaczaną i wciąż rozrywaną, nie chce swą ponu-rą osobą psuć humoru tej, „której wszędzie może być wesoło, a musi być przyjemnie" i od tych przypadkowych spotkań i urywanych roz-mów, woli listy rzadkie, nieśmiałe listy do niej i długie szczere listy do jej towarzyszki, a swej przyjaciółki, panny Marji Trembeckiej. Listy Norwida do Marji Kalergis nie istnieją. Wciąż podróżująca dama mysiała swoją obfitą kores-

pondencję ,jako zbyteczny balast, niszczyć. Przecie i tak trzeba było wozić ze sobą mnóstwo kufrów i kuferków, żeby się zmieściły wszystkie suknie i szale, atłasowe ciżemki i małe, do zabawek podobne, parasolki. A w dodatku w głębi olbrzymich bagaży znaleść się musiało miejsce na klawiaturkę, na której w czasie długich podróży, ćwiczyła się Marja, budząc swą pracowitością podziw małej córeczki.

Za to panna Trembecka, może dlatego, że mniej strojów woziła, może dlatego, że mniej listów otrzymała, a najpewniej dlatego, że bardzo listy Norwida ceniła, skwapliwie korespondencję jego chowa, i dzięki temu doszła ona do rąk potomności.

Pisał do niej Norwid z początku tylko dlatego, że mógł, choć bardzo dyskretnie, o swej miłości mówić, wspólny ideał dobroci, współczucia i obowiązku wychwalać, że za pośrednictwem duchowej siostry przypominał się tej, która wśród zabaw łatwo o nim zapomnieć mogła, ze przez nie mógł się dowiedzieć co nasza pani porabia", gdzie się teraz karoca jej kieruje, i kiedy można pokazać się tak, aby jak najmniej spotkać ludzi i jak najmniej ukochanej zabrać czasu, czasu przeznaczonego na rozrywki i wesołość. W tej dzielnej pannie widział duchową podporę samotnej damy i wierzył, że go

rąca patrjotka potrafi w Marji podsycić ogień miłości dla Polski, który, przy ciągłem zetknięciu z nieprzychylną naszej sprawie Europą, łatwo mógł wygasnąć. Wreszcie dlatego pisał do panny Trembeckiej, że polubił szczerze tę miłą brzydulkę i on, jak sam siebie nazywał, nieestetyczny i niepoprawny „gamin" czuł się jej bliższym, wobec niej swobodniejszym i pewniejszym siebie, niż wobec białej królowej salonów, której, dlatego właśnie, że taka dobra i współczująca, nie mówi o swej miłości, troskach i zmartwieniach. Ale za to co za szczęście, gdy przyjdzie od pani Marji posłanie! W drobnych jej literkach znajduje odblask jej duszy, w każdem słowie widzi odblask jej ruchów, a liścik cały to niby błogosławieństwo. Liściki te pisane były na papierze malowanym przez niego, wielce ozdobnym i sentymentu pełnym. U góry gwiazdka w płomieniach, niżej jaskółka unosząca się nad gniazdkiem, w które wplecione inicjały M. K.

Jakkołwiek z początku Norwid mówi, że niczego prócz jej szczęścia, jej szczęścia, bez siebie — nie pragnie, jednak, choć ją wciąż krwawe zasłaniają chmury, jest ona dla niego gwiazdą co daje nadzieję.. I z biegiem czasu promieniem tej gwiazdy nie chce się już z nikim, chyba ze swą siostrą duchową, p. Trembecką dzie-

lić. Zbuntował się wierny i poddany wielbiciel. Uczucie jego ciche i pokorne stało się żywe i palące. Dotąd był smutny, teraz jest zdruzgota-ny. Może dlatego, że tak „bezczelnie" za nią tęsknić począł. Jakiś spacer, w nocy, w Wenec-ji, na Canale Grande, w gondoli, odkrył mu nie-znaną dotąd tajemnicę serca: zazdrość. I zoba-czył, że białego marmuru nie ozywi. Białość je-go jest, „nieubłagana"; nie rozpalą się białe ra-miona, jak nie zdoła obudzić serca. Wstało wspomnienie wszystkich kiedykolwiek dozna-nych bólów i upokorzeń... Od niej i więcej jesz-cze od jej wielbicieli... I musiał jej mówić słowa straszne, wypowiedzieć czteroletnie milczenie, rozpacz człowieka, który się łudził i — jak zawsze w takich razach, zrzucić na nią winę, że go pojąć, ani ocenić nie potrafiła, zanim, nawpół oszalały, we fraku, poleciał na dworzec by uciec od niej. Gorycz zalała mu duszę i już go nie opuszcza nigdy... Zobaczył, jak wielka jest przepaść między marzeniem o kobiecie, a rzeczywistością, jak wygląda naprawdę ta, która była dla niego ideałem i odtąd „czuła po-garda" dla płci słabej już do końca życia nie opuszcza. „Widziałem kłamstwa, skarżył się, na ustach opiewających rzeczy naielskie i skrzydła pawich piór szatańskich do najpięk-

niejszych przypięte ramion" a potem boleje nad tem iż:

— „...zjawił się na świecie
W epoce kiedy się serca nie dawa kobiecie
Bez złotych ram".

Czy Marja była winna? Czy łudziła go? Zapewne nie. Tylko z wrodzoną sobie dobrocią i lekkomyślnością serca zbyt długo zwlekała by powiedzieć stanowczo ostre słowo i raz na zawsze odtrącić to wierne kochanie.

Norwid ucieka do Paryża, którego nie lubi — nazywając go grobem kwiatów i serc. Spędza tam lat parę w strasznej biedzie, pracuje w fabryce lub przy robotach w lesie w Fontainebleau. Do Paryża też zjeżdża pani Kalergis — na królowanie. Zaczyna się w 1849 r. okres największego jej powodzenia światowego. — Pewno się już nie widzieli. Norwid tylko dalej pisuje do p. Trembeckiej i w chwili jakiejś beznadziejnej rozpaczy, prosi ją o rękę.. P. Trembecka łagodnie odmawia. wie bowiem, że to tylko szukanie ratunku, że miłość do Marji nie wygasła. I nie wygaśnie jeszcze przez długie lata. Choć Norwid przepłynął ocean by być silnym i wyleczyć się z tej słabości — nic nie pomogło. Jego kilkoletni pobyt w Ameryce, to było powzięcie straszliwej decyzji, robienia pauzy między jednym aktem życia a drugim.

Próbował też bezskutecznie szukać zapomnienia w nowych miłościach, jednocześnie za ten bezwolny zawód zrobiony mu przez Marję, płacąc wszystkim kobietom pogardą i goryczą. Z tego uczucia, które było klątwa, i klęską jego życia nie wyzwolił się nigdy. Jest mu zawsze „laurowo i ciemno". W wiele lat potem pisze że wspomnienie o ciągle kochanej kobiecie jest mu bradziej realne i blizkie, niż wszystkie inne. Tyko, że znów powrócił do dawnej rezygnacji. Gdy o jego smutne życie uderzają echa jej powodzeń, gdy pisma skrzętnie notują wszystkie po Europie podróże i Paryż cieszy się, że do niego zjechała ze swym dworem, Norwid pobłażliwie i smutnie na to wszystko patrzy przewidując, iż kiedyś otworzą się jej oczy na całą znikomość świetności, i kończy pobożnem życzeniem „Niech jej pan nasz Jezus Chrystus da wszystko dobre." Sam zaś szuka pociechy w sztuce.

O sztuko, Człowiek do ciebie powraca,
Jak do cierpliwej matki dziecię smutne...

Sztuka, którą istotnie kochał dała mu prócz rozkoszy tworzenia, same zawody. Sztuka jego, która wiek swój wyprzedziła i dlatego nie była przez współczesnych ocenioną, karmiła go gorzkim chlebem nędzy, iż na starość znalazł się w przytułku św. Kazimierza a dziś leży

na cmentarzu w Montmorency, we wspólnym grobie, nawet bez pomnika.

TRZEJ ROMANTYCZNI WIELBICIELE

W 1840 r. poczta francuska w niemałym była kłopocie: ktoś żartem list pisany do Alfreda Musset zaadresował w następujący sposób: „Do największego poety Francji". Po naradzie pocztyljoni zdecydowali; że należy go odnieść z wielkiemi honorami Lamartine'owi. Autor „Medytacyj" chcąc dać dowód, swej obłudy pełnej skromności, list odesłał do Wiktora Hugo. Przewódca romantyzmu pewny siebie rozerwał kopertę i jakież było jego zdziwienie gdy zobaczył tytuł: „Kochany Alfredzie". Ktoś ośmielił się uważać Alfreda de Musset za największego poetę Francji. Największym nigdy on nie był, ale z pewnością był — jednym z najmilszych. Nazywano go też kochankiem wszystkich kobiet, bo zdawało się, że każdaby go pokochała gdyby o miłości tak pięknie ustam, jak piórem, przemawiali. Nic dziwnego, że pani Kalergis nim się zainteresowała. Tembardziej, że mówiono o nim, iż jest wielką miłością do George Sand złamany, i szuka pociechy w przelotnych mi-

łostkach i alkoholu. „Dlaczegożby nie w no-wym uczuciu?" pomyślała dobra Marja. Zapa-lona główka łudziła się, że w tych popiołach iskrę jeszcze roznieci. Ponieważ poeta nie lubi wielkiego świata, nie bywa w ambasadach, nie przychodzi do modnych salonów, Marja zapra-sza się do jego starej przyjaciółki, gdy wie, że Musset tam będzie. Ale wkrótce przekonała się iż rzeczywiście dawne wspomnienie jest jeszcze tak żywe i bolesne, że serce nową miłością nie zabije. Jak każda zręczna kobieta, która, zre-zygnować z kogoś nie chcąc, zamienia swą ro-lę i swe uczucia, potrafiła zapanować nad ser-cem: zostaje nie muzą, lecz przyjaciółkę, za-miast rozpalonych ust kochanki, podaje dobrot-liwą dłoń siostry. Tylekroć w uczuciach swych zawiedziony i bojący się nowych zawodów po-eta już się teraz Marji nie lęka, składa jej w da-ni to na co go jeszcze stać — swe uwielbienie.

Bywał często w salonach pani Kalergis, smutny, małomówny, ale zawsze piękny, tą pięknością melencholijną, romantyczną. Oparty o kominek, w poetycznej pozie, mógł milcząc, wieczór cały spędzić, żywa karjatyda, uosobie-nie bólu i zawodu.

Musset nie opiewał Marji w swych dźwięcznych rymach, ale za to inny współczes-ny mu poeta, Teofil Gauthier wyśpiewał poez-

ię jej bieli w swej; „Symphonie en blanc majeur". Widocznie widział ją kie-
dyś grającą w atłasowej, niby ślubnej sukni, z bukietem śnieżnych kamelji przy piersiach, „półkulach śniegu" i widział jak łabędzie skrzydła jej rąk składały drżące pocałunki na klawiszach. Zastanawia się, z jakich cudów przyrody ona stworzona: płatka niewinnej ró-
ży, czy też lilji majowej, z morskiej piany, ży-
wego srebra, mlecznych opali, puchu albatrosa a może kości słoniowej? Ale w tej białości u-
derza go chłód. Z marmuru, z zakrzepłej kropli rosy, ze stalaktytu, który przeczystą łzą spada, z fantastycznych kwiatów mrozu haftowanych na oknach, ze śniegów dziewiczych. Z północ-
nych lodowców, z blasku podbiegunowego księżyca zostało wykute ciało tego czarodziej-
skiego sfinksa. I wyrywa mu się westchniene; „Ach, któż zdoła zaróżowić tę niepokalaną białość"?

Na tem skończyły się zachwyty! Biedny po-
eta, skazany na ciężką pracę zarobkową, nie miał czasu na asystowanie kobiecie, wiecznie otoczonej, ciągle bywającej w wielkim świecie. Złożył jej hołd, najpiękniejszy jaki poeta złożyć może, i usunął się w cień. Już potem nigdy nie widziano pięknej pary: białej, północnej królo-
wej i syna południa, o czarnych, długich wło-

sach, jarzących jak czarne brylanty oczach, o cerze bladej, bladością swą gorącej, niby jakiegoś kalifa czy emira.

Wiersz Teofila Gauthier był dla Marji glejtem, otwierającym jej wszystkie poetyckie fortece. Dzięki niemu dotarła też do zawsze zamkniętych podwoi Henryka Heinego, po za któremi poeta miłości i ironji wolno, w straszliwych mękach umierał. Słyszał on wiele o pięknej polce, nie chciał jej jednak dopuścić do siebie, jak nie chciał aby nikt, prócz najbliższych, widział jego nędzę, chorobę i upadek ducha. Ale Marja była ciekawską i wszystkie współczesne, choćby już dogasające sławy, poznać chciała. Wybrała się raz do starego, oślepłego króla romantyzmu, Chateaubrianda, bo nie mogła ścierpieć myśli, że nie zobaczy starca, do którego bohaterek, w dniach jej pierwszej młodości, porównywali ją rozkochani kuzynkowie. Wyszła rozczarowana, ale była. Także więc koniecznie chciała być u Heinego. Jedna z przyjaciółek wyrobiła jej audjencję. Dziwny musiał być — to widok, gdy na 5 piętro, do leżącego na swym „materacowym grobie", chorego, wychudzonego, podtrzymywanego już tylko morfiną, poety, przyszła kobieta młoda, wysoka, o pełnych piersiach i bujnych ramionach. Wiadomo, że Henryk Heine na wszystkie swe

wrażenia reagował — ironią. To też wkrótce po tej wizycie zaczęła obiegać Paryż anegdotka gdy pani Jaubert, za protekcją której Marja się do niego dostała, mówiła, że biała czarodziejka wybiera się do Panteonu zawołał: „Do Panteonu? Droga pani. Po co? Przecież samaś jest Panteonem gdzie sławni ludzie spoczywają." Kiedyindziej zaś wyraził myśl, którą potem w wiersz ułożył:

Do tak olbrzymich tumów prawo sobie rości
Chyba Bóg — Amor — ona katedra miłości.

Bowiem i on chciał ją uczcić wierszem i wpadł na dość dziwaczny pomysł. Napisał bajkę o „Białym słoniu", ponad inne w świecie bielszym, którego posiadał król dalekich Indyj. Słoń ten dnia pewnego zaniemógł, próżno, wzywano do niego najbieglejszych lekarzy, ginął, marł powoli z jakiejś nieznanej tęsknoty. Astrolog, co w gwiazdach czyta, wyczytał dziwną tajemnicę zwierzęcia: miołść i zazdrość go dręczą. Gdzieś bowiem na dalekiej północy, żyje kobieta jeszcze bardziej niż on bielsza. Zaczęto się sprzeczać w Paryżu co to wszystko znaczy, jak sobie wytłomaczyć tę dziwną historję? Czy Marja ma się obrazić o miłość i zazdrość słonia? Ale ktoś wtajemniczony, objaśnił, że tym słowem z bajki jest Teofil Gauthier (dlaczego w takim razie biały słoń, nie czarny?) i że ko-

bieta może przyjąć w każdej formie hołd sobie złożony.

Tak też zdaje się myślała Marja, czyniąc bilans swych tryumfów wśród poetów.

POWINOWACTWO Z WYBORU

Romantyczna Marja uważała, iż ważniejszem od pokrewieństwa krwi, jest powinowactwo z wyboru. To też szukała po Europie swych duchowych powinowatych i tak się szczęśliwie złożyło, że znajdowała ich wśród wielkich i sławnych wówczas ludzi: poetów, artystów, muzyków. Szczególnie muzyków. Była wielką miłośniczką tej sztuki i sama pięknie grała. Szopen, Liszt, Wagner, — te trzy tak różne indywidualności, umiała w swym entuzjazmie, zachwycie, w swym zapale połączyć i otoczyć jednakowem zrozumieniem.

Dzięki pośrednictwu Liszta, który Szopenowi wiele mówił o pięknej Marji Kalergis, zostaje ona jego uczenicą. Twórca „Preludjów" skąpy w pochwałach, jest z niej dumny, bo pisze do przyjaciela, że Marja gra bardzo dobrze a przytem dodaje, że na salonach paryskich cieszy się olbrzymim powodzeniem. Marja bywa u niego często, w małem kółku wielbicielek spędza wieczory. Jest Marcelina Czartoryska, jej rywalka, bo obie cieszyły się sławą najlepszych

interpretatorek mistrza, jest Delfina Potocka, muza Krasińskiego, klasyczna piękność, w białej zawsze szacie, co do której istnieje nieprawdziwa, lecz wzruszająca tradycja, iż grała umierającemu Szopenowi, są szkotki, lady Erskine i miss Stirling, bogate jak królowa Saba bardzo zakochane i przezornie a delikatnie dbające o potrzeby artysty. Zbierają się te wybrane w mieszkaniu Szopena, przy placu Vendome, ostatniem jego mieszkaniu, które chory upodobał sobie ze względu na słońce, i — wygodne schody. Na schody te raz tylko wszedł — potem go niemi zniesiono. Choroba czyni coraz większe postępy, spaceruje już tylko po swych pięknych pokojach, które właściwym sobie smakiem i z wielkim, podstępnem nakładem pieniędzy wielbicielek urządza. Ściany saloniku są gris perle, meble miękkie w chodzące wówczas w modę bordo jedwabną materją kryte, kominek z lustrem, przed nim ekran, a przedewszystkiem szezląg na którym często spoczywa. Bardzo wielkie okna wychodzą na śliczny plac, po środku którego wznosi się kolumna ulana z dział zdobytych pod Austerlitz, z Napoleonem na szczycie. Przez okna te wślizgiwało się piękne słońce październikowe i przynosiło choremu ostatnie pozdrowienie. Ale często cały plac był w mgle pogrążony.

Dziś, gdy szczęśliwy przypadek pozwoli wejść do tego mieszkania staje się żywe, wszystko co się tu przed 80 blisko laty działo. Widzę Szopena eleganckiego wykwintnego w każdym ruchu, pięknego tą arystokracją ducha, która promieniuje od wielkich dusz i Marję przy fortepianie tak piękną gdy gra wznosząc ku górze oczy — niby święta Cecylja. Szopen lubił swoją uczenicę dlatego, że była uroczą, że kochała i rozumiała muzykę i dlatego, że pomimo swego pochodzenia i pozornego kosmopolityzmu zycioego w duszy była polką, dobrą i gorącą patrjotką, czuła wrażliwą duszą romantyczną. Dzięki temu oddać potrafiła jego fantazję, jego melancholję, jego tęsknotę — i wyczuć co w jego utworach było istotnie i głęboko polskiego.

Znajomość z wielkimi artystami wpłynęła na to, że Marja zrozumiała jak bardzo, wobec ich sztuki, niedoskonała jest jej gra i jeszcze gorliwiej, niż dotąd, zabrała się do muzyki. Gra ćwiczenia, na pulpicie jej leży wciąż Bach, którego jako Biblję muzyki, polecał Szopen swym uczniom, chodzi na koncerta i rezultat jest taki, że wyciska łzy staremu Rossini'emu, gdy gra uwerturę z jego Wilhelma Tella, cały zaś Baden ją oklaskuje, w czasie koncertu z „boskim" Wieniawskich.

WŚRÓD POLITYKÓW.

Serce kobiety jest nielogiczne, a serce kobiety romantycznej było dwa razy więcej, niż każde inne, nielogiczne. To też Marja żywiła dziwne marzenie: chciała pogodzić największe sprzeczności, połączyć w swej miłości i w swem zaufaniu dwóch przeciwników politycznych: generała Cavaignac'a i Ludwika Napoleona. Jak to wytłomaczyć, że siostrzenica kanclerza Nesselrode, który przez długie lata swej karjery dyplomatycznej, bronił zasad porządku i ładu mogła zjąć się człowiekiem, którego rewolucja wyniosła po nad prawowitą władzę? Jak to wytłomaczyć, że piękna dwudziestokilkoletnia kobieta. w pełni rozkwitu i powodzenia zajęła się brzydkim, surowym dyktatorem? Nawet nie mógł z jej duszy pełnej zapału i porywów, wydobyć zachwytu dla rewolucji, bo sami Francuzi przyznali, iż nigdy żaden republikanin nie wzbudził takiej niechęci do republiki, jak on. Tyko nielogicznością serca kobiecego można to objaśnić i tem, iż to niespodziane uczucie za-

marło prędko. Przez kilka tygodni generał Cavaignac królowł w pałacyku d'Anjou, nieomal w roli gospodarza, aż nagle rozniosła się wieść, że chora matka jego wymogła na synu zerwanie tego, jeszcze nie zaczętego romansu. I zerwanie to nastąpiło. Ale, co ważniesza, nastąpiła po zerwaniu taka rozpacz, że biedna Marja noce całe spędza bezsennie, po swych białych salonach błądzi, białe widmo, podtrzymując nerwy herbatą i papierosami. Przez krótki czas zdawało się bliskim, że nic jej z tej miłości nie uleczy, ale dyktator szybko swoją karjerę skończył, co się do uleczenia tej miłości nie mało przyczyniło.

Miała Marja słabość do wielkich ludzi, ale gdy wielki człowiek wielkim być przestawał, słabość ta mijała szybko. W danym wypadku po ciechę znalazła w tem, że szczęśliwy rywal jej niedawno ukochanego, zaprosił ją na obiad do pałacu Elizejskiego, i że książe prezydent, który wkrótce zostanie Napoleonem III, bardzo się przyjaźnie do niej odniósł.

Marja należała do tych niezbyt zresztą licznych osób, które zachwycały się Napoleonem III; większość, mając w pamięci jego wielkiego poprzednika z ubolewaniem lub współczuciem, patrzyła na synowca, który do swej roli nie dorósł, ale egzaltowana polka widziała w nim

prawego spadkobiercę więźnia ze świętej Heleny. Zapewne na tej sympatji zaważył fakt, iż Napoleon III urokom jej uległ, co nawet przyzwyczajonej do hołdów damie, musiało się bardzo podobać. Zwierza się swojej przyjaciółce, że jej oczy do fjołków parmeńskich porównuje, zachwyty swoje chętnie okazuje i umie rozmawiać z kobietami. Był wogóle względem nich bardzo grzeczny i żadna nie mogła mieć żalu do niego, jak tyle ich miało żal do jego wielkiego stryja. „Niech czeka", nie powiedział nigdy, przeciwnie, bardzo chętnie dla chwilowej wybranki prace swe na drugi plan odsuwał. To też kobiety zachowywały się w stosunku do niego wesoło i swobodnie. Ktoś zapisał następującą anegdotkę, która świadczy zarówno o wpływie Marji o jej odwadze politycznej, jak i o dowcipie. Pełna współczucia dla wszystkich prześladowanych, równie litościwa w Paryżu, jak i w Warszawie, Marja dowiaduje się o licznych aresztowaniach, które nastąpiły po wyborze Ludwika Napoleona na prezydenta. O kogoś jednego specjalnie jej chodzi i postanawia się zań wstawić osobiście, udaje się więc do księcia na audjencję. Przyjęta bardzo uprzejmie, przedstawia mu swą prośbę. Ludwik Napoleon słuchał cierpliwie wymownych słówek wypowiedzianych przez piękne usteczka, poczem nic nie rzekł

szy, wziął Marję za rękę i podprowadził do wielkiego zwierciadła. Patrząc z uśmiechem na srebną taflę, która odbijała wspaniałą postać jasnowłosej czarodziejki, zapytał: „Czy pani wie jaka zachodzi różnica między lustrem a kobietą?" Marja nie znalazła odpowiedzi, a wówczas książe prezydent sam ją dał. — „Le miroir reflechit toujours et la femme jamais," (Była to dowcipna gra słów, opierająca się na użyciu wyrazu „reflechir„, który ma podwójne znaczenie odbijać i zastanawiać, rozważać. Chodziło o to że lustro zawsze odbija a kobieta nigdy się nie zastanawia. Ale Marja nie stropiła się tym kalamburem, tylko z kolei zwróciła się do Napoleona, pytając o różnicę między lustrem a prezydentem. Teraz on znalazł się w kłopocie i szczerze wyznał, że nie wyobraża sobie jaką by mogła być odpowiedź. A jednak, — śmiała się piękna pani, to takie proste: „Le miroir est poli, et le president ne l'est pas." (Żart polegał na grze wyrazów: poli —polerowany i grzeczny; lustro jest polerowane, ale prezydent grzecznym nie jest.) Jednak Ludwik Napoleon był grzeczny — albowiem spełnił prośbę Marji i uwolnił więźnia, o którego jej chodziło.

Gdy książe prezydent sięga po władzę cesarską, w dniu drugiego grudnia jest po jego stronie i ona to pierwsza żałobę stolicy zawie-

sza otwierając swe podwoje, czem dowiodła że się nic złego Francji, a przez to i całej Europie, nie stało. W salonach swych umie połączyć zwolenników dawnego i nowego porządku i żeby była zupełna harmonja zasiada do fortepianu. Jak ktoś z obecnych zauważył, przez uszy w serca sączyła pogodę. Już sama jej postać była zjawiskiem pozwolającem zapomnieć o wszelkiej polityce. W białej, przejrzystej sukni, z szeroką, ponsową szarfą u boku, z narzuconym na ramiona koronkowym szalem, z różą w złotych włosach...

Ale Napoleon żeni się. Festyny i bale na których króluje Marja „Statua alabastrowa" z pałacu Elizejskiego przenoszą się do Tuilerjów. I nie żeni się z jakąś księżniczką, dla racji stanu, co zawsze każda kobieta może przebaczyć, ale z hrabianką de Montijo, która tylko swej matce zawdzięczała, że zamiast być kochanką cesarza, została jego żoną. Marja przebacza, bo zresztą nie myślała o podobnym losie dla siebie. Nie jest nawet zazdrosną o Eugenję, choć Moltke powiedział, że ma ona najpiękniejsze w Europie ramiona, to powiedział dlatego, że nie znał innych, piękniejszych jeszcze, ramion. Wraz z całym Paryżem biegnie oglądać u Palmyre'a wyprawę przyszłej cesarzowej składającą się ze stu sukni jedwab-

nych, nieskończonej ilości mantyl, szalów, fi-chu i pasterek, a prócz tego u pani Vignon ślubną suknię z białego aksamitu, pokrytą angielską koronką, której staniczek był osypany brylantami. Mogła Eugenji tembardziej przebaczyć jej wywyższenie, że sama nadal zachowała swe wysokie stanowisko na dworze, gdy bierze udział w defiladzie wojska na polu Marsowem adjutant cesarski dba, żeby dla jej powozu zatrzymano dobre miejsce, jest na jesiennych polowaniach w Compiegne i na szlichtadach w Lasku Bulońskim.

W TRYUMFALNYM POCHODZIE.

Dwór Napoleona III był ostatnim dworem na którym królowały kobiety, był też ostatnim dworem mającym swój odrębny styl. Na tle tego dworu i w ramacji tego stylu odtworzyć sobie należy piękną postać Marji „białego sfinksa".

Mieszka ona przy ulicy d'Anjou, pod N 8, obok ulicy St. Honore, gdzie mieści się pałac Elizejski, niedaleko kościoła świętej Magdaleny, zbudowanego przez Napoleona I, nieopodal cmentarza na którym chowano ofiary rewolucji francuskiej. Mieszka w pięknym pałacyku ozdobionym rokokowemi maszkaronami,

wdzięcznymi płaskorzeźbami, z bogato rzeźbio- nemi odrzwiami, obszernem podworcem, które oświetla staroświecka latarnia. Ma wielkie sa- lony biało-złote i małe buduarki wybite broka- tem, o miękkich meblach, bordo jedwabiem kry- tych, z serwetkami pełnemi bezużytecznych i nie zawsze pięknych cacek, oświetlone wysokiemi lampami o baniastych kloszach. Chodzi po nich w sukni niemal tak szerokiej jak suknia cesa- rzowej Eugenji, w głęboko na piersiach wycię- tym, nisko z ramion spadającym staniku.

Zna ją cały Paryż. — Gdy pobożna pani wchodzi do kościoła, żebracy witają ją jak swą opiekunkę, a ksiądz z zaufaniem wyciąga do niej skarbonkę, gdy zjawia się na Bulwarach w otwartej wiktorji tłum się do niej uśmiecha i wszyscy cisną się do cukierni Tortoni by pa- trzeć, jak będzie jeść lody. A przecież pięk- nych kobiet nie brakło Paryżowi nigdy — wów- czas było ich jeszcze więcej, niż kiedykolwiek, bo dwór Napoleona słynął z pięknych kobiet. Ale Marja przed innemi króluje. Były piękniej- sze od niej, były mądrzejsze od niej, były bar- dziej utalentowane i lepsze, ale nie znaleść ta- kiej, którаby równie harmonijnie łączyła w so- bie piękno ciała, duszy i serca, równe bogact- wo dowcipu, wdzięku, żywości, wykształcenia i talentu. To też pewien dyplomata angielski

powiedział, (wiadomo, że anglicy wogóle, a dyplomaci w szczególe, w pochwałach nie są szczodrzy): „Żadna ówczesna kobieta nie była przedmiotem tak szczerego zachwytu i głębokiego podziwu, jak pani Kalergis. W społeczeństwie swego pokolenia odegrała ona wielką rolę i tem samem należy do historji".

Szczególnem powodzeniem cieszy się Marja na balach, gdy tańczy przy dźwiękach modnego, Offenbachowskiego walca Biała, biała, biała. — Jak ją opisał Kornel Ujejski w swym pamiętniku. „Na wieczorze u księżnej Izy Sanguszkowej olśniła mnie piękna pani Calergi, une beaute opulente, blondyna biała jak śnieg, pełna, słusznego wzrostu. Tańczyłem z nią. Szczyci się, że z nią tańczył, choć nazywa ją Moskiewką, Nesselrodówną z domu, on, autor chorału, który „z dymem pożarów, z kurzem krwi bratniej" wznosił głos swej rozpaczy do Boga... Ale dodaje jakby na swe usprawiedliwienie, że był u niej po kolekcie, na ofiary powstania 46 r. dała najwięcej — 1000 franków.

Wkrótce znudziła się Marji rola białej bogini. Tembardziej, że coraz pewniejszem się stawało, iż wedle proroctwa poety nikt tej białości nie zdoła zaróżowić. Chciała wspaniałość swych wdzięków ukryć pod czarnością nocy. I tak przebrana, cała w czarnych gazach usianych

gwiazdami, spływających z pod brylantowej za-słony, poszła na bal. Ale przez chmury żałobne bardziej jeszcze bił blask bieli jej ramion. Jeszcze więcej złociło się złoto jej włosów. Poznali ją wielbiciele. Chcieli zadrzeć zasłony, żeby skończyła się noc i wstało znów słońce.

Czy wśród tych podróży po świecie, hołdów panujących artystów i dyplomatów serce pięknej pani nigdy nie zabiło goręcej, miłością nie złudzeniem? Można sądzić, iż nie. Ludzie, którzy się jej podobali, podobali się dlatego, iż byli wielcy, lub sławni. Nikt się jej właściwie— dla samego siebie tylko—nie podobał. Zresztą w kobiecie tej, jeśli chodzi o uczucie do mężczyzn, było coś z chłodu marmuru, w którym cudne jej ciało zostało wyrzeźbione. Przeważała w niej wyobraźnia nad uczuciem. Głowa gorąca, dusza zapalna łatwo, ale serce chłodne, zmysły uśpione. Dlatego mogła przejść w tryumfalnym pochodzie swego życia zakochana — przedewszystkiem w sobie. Zbyt była piękną, zbyt uwielbianą, aby jej główki nikt nigdy nie zawrócił, ale serce zostało się nierozbudzone, miłości ku sobie, córce, pięknu i dobru oddane. Nigdy, ani na chwilę nie spłonęła cała miłością wielką, prawdziwą, wyłączną, dla jednego mężczyzny. Zresztą dzięki swej piękności majestatycznej onieśmielała wielu, budziła więcej sza-

cunku, niż odwagi, więcej uwielbienia, niż miłości, więcej zachwytu niż namiętności A ludzie, którzy dawali, lub mogli jej dać swe uczucia to byli tacy jak Kalergis, Demidow, Musset, czy Cavaignac, ludzie namiętni i zazdrośni, ona zaś należała do kobiet, którym potrzeba spokojnej miłości i spokojnego uwielbienia.

Naturalnie współcześni nie mogli sobie wyobrazić, żeby Marja przeszła życie nie zatęskniwszy do ramion ukochanego. Mówiono wiele o romansie jej z Cavaignac'iem, jakkolwiek romans ten liczył zaledwie kilka wstępnych rozdziałów, o Alfredzie de Musset, lecz wkrótce przekonano się, że z obu stron jest przyjaźń, a nie miłość. Starano się wynaleść jakąś tajemniczą historję z pięknym rewolucjonistą francuskim, ale upadła ona wobec zupełnego braku dowodów.

Aleksander Dumas, życie jej nazwał „pięknym poematem poetycznej miłości i rezygnacji". Mylił się. Dojrzała, u szczytu powodzeń stojąca kobieta, wyznała kiedyś przed córką, iż wszystkiego było jej za mało i że życie nigdy nie nasyciło jej pragnień i ambicyj.

DOBRA MATKA, DOBRA CÓRKA I DOBRA OBYWATELKA.

W 1857 r. w kościele Saint Philippe du Roule w Paryżu, przy licznym udziale arystokracji francuskiej z Przedmieścia Saint Germain przedstawiciele obcych mocarstw i cudzoziemców przebywających wówczas w stolicy świata, 35 letnia matka wydaje 17 letnią córkę zamąż. Młody dyplomata austrjacki, hrabia Franciszek Coudenhore, zaślubia młodziutką Marję Kalergis. Radość widniała na pięknym czole jego teściowej. Ustaliła los córki, zapewniła jej stanowisko i zgotowała może szczęście, którego sama w małżeństwie nie znalazła.

Z powodu małej różnicy lat obie Marje były wielkiemi przyjaciółkami, to też matka zwierza się córce ze wszystkiego i od czasu jej zamążpójścia do swego zgonu pisuje listy, — które zostały przed dwudziestu laty wydane przez jej wnuczkę i są bardzo ciekawym dokumentem tej duszy i tych czasów.

Pani Kalergis, która bardzo lubiła wojaże, tłomaczyła się przed światem i sobą samą, iż czyni to dlatego, że w podróżach najłatwiej znaleść odpowiednią partję dla córki, z chwilą jednak jej zamężcia ten rodzaj życia nie ma uzasadnienia,a nawet wogóle stały pobyt zagranicą

stracił rację bytu. Tembardziej, że gdy spełniała jeden obowiązek rodzinny, na pierwszy plan wysunął się drugi. Była bowiem niętylko dobrą matką, ale i dobrą córką. Choć wiek, życie, przekonania i uczucia dzielą ją od szefa żandarmerji, chce być z nim i starość mu umilić. Nesselrode jest już dymisjonowanym urzędnikiem w r. 1858, gdy piękna pani zjeżdża do Warszawy. Mieszka z nim razem w pałacu Potockich, ma tu wielkie salony do przyjęć, ale ponieważ lubi wszędzie gdzie jest, urządzić sobie mieszkanko miłe i przytulne, więc parę pokoików obraca na swój wyłączny użytek. Każe je wytapetować na nowo a meble obić perkalem w tymże tonie, co i tapety. Trochę spartańsko wygląda, po paryskich jedwabiach i brokatach, ale jest świeże, czyste i wesołe.

Jakkolwiek Marja na dobre rozgościła się w Warszawie, ze względu na ojca postanowiła tam stale przebywać, jednak mówi o Warszawie, że jest nieznośna i nazywa ją swoim grobem. Jeśli się coś krytykuje, to nie jest dowodem braku miłości, ale — wielkich wymagań. A wymaga się wiele od kogoś, na kim nam zależy. Z tego widać, że Marji na Warszawie zależało. A nawet właściwie, Marja nie tyle Warszawę krytykuje, co nad nią ubolewa. — Przyzwyczajonej do innych warunków życia, tęskniącej za

Europą, stosunki tutejsze wydają się jakieś ma- łostkowe, i banalne. „Skoro skosztowało się to co lepsze, pośledniejsze nie smakuje." Życie tu nudne, nikt nic nie czyta, nawet mało się myśli, rozmowy nieinteresujące. Matki dbają tylko o wydanie córki zamąż, córki o złapanie mę- żów. I pożal się Boże, jakich mężów! Mło- dzież przecież taka nieinteresująca — nawet bawić się nie umie. Rzeczywiście czasy przed powstaniem były bardzo i smutne i płytkie. Zastój zupełny. Prześladowania rzą- du rosyjskiego zabiły, zdawało się, wszelkie po- rywy. Wielka literatura przestała już promie- njować. Pusto było i beznadziejnie.

Rozejrzawszy się w miejscowych warun- kach i niepochlebny o nich sąd wydawszy, Mar- ja przyszła do niespodziewanego wniosku, który świadczy pięknie o jej duszy: Warszawa ma jedną dobrą stronę, że jest tu wiele do zrobie- nia, ogromnie wiele — część tego ona chce zro- bić, może potrafi. I rzeczywiście. Dla Warszawy przedpowstaniowej zrobiła wiele. O wiele wię- cej, niż niejedna osoba rozpływająca się z za- chwytu nad stolicą, zrobiła wiele dla jej życia artystycznego i umysłowego, była podnietą wie- lu poczynań, opiekunką artystów, gromadzi ich przy sobie i rozwija talenty, pomaga niosąc chętnie dar swej muzyki.

Zważyła też bardzo w dziedzinie dobro-

czynności. Dobroczyność Marji wypływała nie z wielkoświatowego konwenansu, który taki obowiązek na swe wybranki kładzie, ale z dobroci, wrażliwości i wrodzonej potrzeby niesienia innym pomocy. Powodzenia i hołdy nie ostudziły jej wciąż młodego zapału, nie odebrały żywości uczuć, stosunki towarzyskie nie zabiły bezpośredniości i szczerości wielkiej czujności na niedole bliźniego. Fiołki jej oczu często przesłaniały łzy współczucia. Jakkolwiek żyjąca głębokiem, własnem życiem, umie o sobie dla innych zapomnieć i czyni to z dziwną prostotą, wdziękiem niezwykłym, jednając serca ludzkie. Daje wiele moralnie i materjalnie. Materjalnie więcej, niż może. Tak zawsze dowodził hr. Nesselrode. Gdy brak jej pieniędzy wydając córkę zamąż zrzekła się 1.3 swych dochodów, aby móc zadość uczynić wymaganiom swego serca, sprzedaje klejnoty, tak, że ich potem już nieomal wcale nie ma. Tłumaczy się, że kwiaty są od nich piękniejsze...

Kronika warszawska lat 60-tych notuje cały szereg dowodów jej serdecznego zajęcia się życiem stolicy, jest wszędzie gdzie potrzeba jej pomocy tu i gdzie wpływ jej coś zdziałać może. Gdy umiera aktorka Borowska, zostawiając drobne dzieci, Marja daje koncert, który przyniósł 10 tyś. rubli. Przyczynia się też do polep-

szenia bytu Stanisława Moniuszki, aby chory artysta mógł wyjechać zagranicę. Urządza koncert, który świetnie się udał i dał 6 tyś. rubli dochodu. Wydobyła z pod ziemi doskonałych artystów, dostała za darmo orkiestrę teatralną i sala redutowa przepełniona była publicznością. Bardzo lubi autora „Halki", nazywa go zacnym człowiekiem i wielkim artystą. Marja nie mało przyczyniła się do utworzenia Warszawskiego Towarzystwa Muzycznego. Na rzecz tej instytucji urządza bal publiczny, zebrała 26 tyś. rubli; ponieważ na początek trzeba było 40 tyś. rb. w cyrku odbył się drugi koncert, wobec 2 tyś. osób i już miała nadwyżkę. Po wielkich prośbach śmiała się, „że wszystkie dewotki Warszawy przed nią klękały", — zgodziła się na wzięcie udziału w teatrze amatorskim na sieroty zostające pod opieką panien Felicjanek. Gdy rozniosła się wieść, że Marja zagra główną rolę w sztuce Meilhac'a „Autographe" zaraz zakupiono 40 lóż. Grała z Elfrydą Zamojską, Aleksandrem Przezdzieckim i Stanisławem Kossakowskim. Wszyscy orzekli, że jest wielką artystką dramatyczną i że ma tak szczęśliwą rękę, iż bez niej nic przedsięwziąć nie można.

Stolica była Marji wdzięczna za jej dobroć, jej oddanie się, podziwiała piękność i talent, a przebaczała nawet pewną trudność w

mówieniu po polsku. Zresztą Marja sama się bardzo wstydziła iż źle włada językiem, który zawsze za własny uważała. Była bożyszczem przedpowstaniowej Warszawy. Kochali się w niej wszyscy słuchacze Szkoły Głównej, a panny z najlepszych domów wyszywały dla niej dywany, poduszki i pataraíki. Gdy po dłuższej niebytności w mieście ukazała się w kościele, nieomal sukni jej nie poszarpano, tak każdy cisnął się, by ją powitać. Po jednym koncercie przez nią zorganizowanym, jakiś zapomniany dziś poeta improwizuje na jej cześć wiersze, opiewając wdzięki i zalety serca, a chór refren powtarza. W cyrku zaś, gdzie grała na rzecz Towarzystwa Muzycznego urządzono wspaniałą owację. W chwili gdy wśród oklasków wstała od fortepianu, członkowie komitetu podeszli do niej, przynosząc na poduszce wieniec kwiatów. Prezes poprosił o ciszę i z głębokiem wzruszeniem w imieniu artystów, dziękował pięknej opiekunce za popieranie tak pożytecznego dzieła. Marja drżąca, wzruszona, wszystko się jej w oczach kręciło, nie mogła powiedzieć ani słowa. Lesser, twórca „Śmierci Wandy" scenę tę utrwalił rysunkiem. Pochwalić się nim przed córką pośpieszyła Marja i posłała rysunek, który gdzieś zaginął. Wszystkie te manifestacje uważała ona za przesadę, ale

ojciec niezmiernie się niemi cieszy i gdy (marzec 1860) w „Gazecie Warszawskiej" pojawił się artykuł o pani Kalergis z powodu jej udziału w teatrze amatorskim, radość jego niema granic. Artukuł brzmiał: „Spotykano pomiędzy występującemi amatorkami nazwisko damy, które z pewnością wszędzie spotkać można, gdzie idzie o dobry uczynek, o szlachetny cel, którą proszą wszędzie o udział, o pomoc w podobnych wczorajszemu przedsięwzięciach, bo panuje w nas przekonanie, że czego się dotknie, to się powiedzie, że pod jej opieką najtrudniejsze wiodą się rzeczy. Wiedzą o tem dobrze artyści zwłaszcza, z których kilku i co znakomitszych, wiele jej winni, wiedzą też o tem i ubodzy. Nie żyje ona stale pomiędzy nami, ale każdy swój przyjazd, każdy nieco przydłuższy pobyt umie naznaczyć takiem dobrem wspomnieniem, a umie to zrobić z taką sztuką, której nauczyła ją prosta serca dobroć, że o co prawie najtrudniej w naszym biednym świecie, pomiędzy popartymi przez siebie ludźmi nie zna niewdzięcznych."

W życie towarzyskie warszawskie wnosi jakieś tchnienie Europy. Były to czasy gdy ono nieomal zamarło. Ciasne kółko wybranych zbierało się na Miodogórze u Narcyzy Zmichowskiej, cała Warszawa chciała być na ponie-

działkach Deotymy. Pozatem nic, żadnego ruchu, żadnego nowego powiewu.

Deotyma wydawała się być gwiazdą co zabłysła na horyzoncie poezji, Mickiewicz w przeddzień śmierci powitał ją radośnie, Zaleski i Norwid pisali do niej wiersze, Gabryella uważała ją za ostatnią swego entyzjazmu nadzieję, Niemcy nazwali ją „Wunderfraulein". Zawsze pełna zapału Marja była zachwycona Deotymą. Znała oddawna salon jej matki, Niny Łuszczewskej chętnie teraz uczęszcza do tego domu, gdzie śpieszy cała śmietanka Warszawy. Nawet raz zjawił się tam namiestnik Berg. Właściwie chodziło mu o skontrolowanie co się tam dzieje. Satrapa przesiedział, a raczej przedrzemał w fotelu cały wieczór, w chwilach wolnych od drzemki udając zainteresowanie. A Deotyma tymczasem improwizowała Wandę, jej słowa płynęły, płynęły. Jak ktoś się złośliwie wyraził: To nie dziewczę mówi, to przez dziewczę coś mówi".

W dziejach kultury Warszawy szczególnie zapisał się jeden wieczór. Deotyma improwizowała na zadany przez Marję temat: „Śmierć Szopena" a ta najlepsza, zdaniem Liszta, impretatorka naszego mistrza grała jego: „Marsza żałobnego". W ramach pięknego salonu, pełnego kwiatów i dzieł sztuki, te dwie kobiety wyglą-

dać musiały podobnie, jak te dwie sybille wiszące na ścianie. Wieszczka stała w białej kaszmirowej sukni, z rozpuszczonym włosem, obok gorejącego świecznika, Marja zaś grała „anielsko przejrzysta", w szacie lekkiej i powiewnej, z wzniesionemi do góry oczyma, w aureoli złotych pukli.

A potem, jak zawsze bywało na tych przyjęciach, podawano kanapki, jedne z sardynkami drugie z siekanem jajkiem, limonjadę domowej roboty, wykwintne ciastka od Leszla i mówiono o poezji, pięknie, nieśmiertelności...

A czy teraz w tej nowej fazie życia, Marja jest szczęśliwą? Nie. Mówi o tem często. Jest smutna, jak nią była w dniach pierwszej młodości. Świat jej już nie bawi, życiem zmęczona, widzi znikomy blask powodzeń, szuka już tylko radości w szczęściu ukochanych: ojca, córki, w niesieniu pomocy innym, w swem życiu wewnętrznem, własnem, odrębnem, w książkach, które w samotności moralnej są ostoją, w muzyce, która niesie ukojenie. Nie jest jej dobrze. Wchodzące wówczas w modę słowo „spleen" powtarzały często różane usta bardzo pięknej pani, ciągle jeszcze, jak się przed córką z pewnym zażenowaniem przyznaje, uwielbianej. „Matka Twoja (o grozo) tańczyła do szóstej rano. Mówiono nawet, że zaćmiłam inne kobiety, ale te-

mu nie wierzę". Innym razem, skromnie zasługę swego powodzenia składa na jakieś czerwone piórka na głowie. Skromność zbyteczna, piękność jej prozą i poezją w dalszym ciągu opiewają, teraz już w polskim języku. Obok tego hołdy jej składają różni panujący, z którymi się spotyka w swych chwilowych do Europy wyprawach. U królowej holenderskiej jest na herbacie, gdy przyjeżdża do Monachjum król Bawarski, grać dla niej każe Tristana i Izoldę, — Marja zawsze w pierwszym akcie płakała, — w Badenie pije wody z księżniczkami krwi, które się nią zachwycają. A prócz tych świetnych wielbicieli jest jeden cichy, pokorny, jak student w nej zakochany: Sergjusz Muchanow, który za parę lat, ku wielkiemu zdziwieniu Europy, zostanie jej mężem.

MARJA WOBEC POWSTANIA.

Zbliża się rok 60-ty, epoka bezpośrednio przedpowstaniowa. Pierwsze zwiastuny burzy Marja przymuje z lękiem. Jako młodziutka kobieta narażała karjerę ojca i swoje stanowisko, jako kobieta stała jest przeciwniczką wszelkiego ruchu. W latach 40-tych pragnęła by drogą rewolucji kraj się wyzwolił, ale dłuższy pobyt zagranicą wzbudził w niej wstręt do wielkich

przewrotów. Wprawdzie chwilowo kochała się w dyktatorze ludu, ale potem mieszkała czas długi koło cmentarza, gdzie złożono ofiary 93 roku i bała się wszelkiej demagogji. A naród polski uważa za demagogiczny. Nie lubi wybujałej wolności, czyta historję upadku kraju i wątpi, czy polacy zdolni są rządzić się sami. Dawniej marzyła o niepodległości, teraz, w miarę jak zbliża się powstanie, chciałaby je odwlec. Wbrew wielkiej emigracji, która z Mickiewiczem na czele prosiła o powszechną wojnę ludów, wierząc, że z niej odrodzenie wyjdzie, Marja sądzi iż w wojnie ogólno Europejskiej zaginie nawet imię Polski. A polacy dążą do powrotu swych granic przedrozbiorowych i usiłują zainteresować Francję i Austrję, żeby w ich sprawie wystąpiły. Nie dość im reform, a nawet autonomji. Sama pragnie zmiany stosunków w Polsce i widzi ich potrzebę. Jest źle, narzeka na sprzedajność administracji, nadużycia władz, oburza się na nieuzasadnione aresztowania , zamknięcie kościołów — ale wierzy w Rosję i marzy, że pod jej opieką otrzymawszy przywileje kraj może się rozwijać. Wierzy też w margrabiego Wielopolskiego, z którym jest w przyjaźni. Można Marji te wszystkie zapatrywania przebaczyć. Wiele osób czysto polskiego pochodzenia, podobnie jak ona myślała, wiele ko-

chających Polskę dusz było przepełnionych rów-
nym pesymizmem i równą niewiarą. Niemniej
bardzo ją boli to co się wokoło dzieje, serce jej
pisze do córki, nawpół polskie, chce ulżyć nie-
doli kraju, chce być w stolicy, żeby jednych us-
pakajać, drugim pomagać i oddać przysługi. W
tych chwilach czuje się silnie z Warszawą zwią-
zaną — jadła z nią gorzki chleb cierpień i ko-
chać ją będzie zawsze. Wierna zasadzie, iz słusz-
ność jest po stronie pokrzywdzonych — o nich
myśli, nie o swoich teorjach i poglądach. Jest
jednak zawsze odważna w wypowiadaniu prze-
konań, ponieważ potępia ruch, nie nosi narodo-
wej żałoby, choć jej miasto długo tego nie prze-
baczy. — „Panowie, raz rzekła, nie wymagajcie
odemnie bym grała komedję. Nie, tego nigdy nie
uczynię". Wytwarza się jednak taka sytuacja,
iż Marja musi opuścić Warszawę i znów rozpo-
cząć swoje wędrówki po świecie. Nie ma jednak
o to gniewu ani żalu do nikogo, przeciwnie pła-
cze nad Polską: „Póki się to wszystko nie skoń-
czy, mogę być szczęśliwą, ale wesołą być nie
mogę".

Bo właśnie w tym czasie niespodzianie uś-
miechnęło się do Marji szczęście. Dyrektorem
głównym prezydjującym w Komisji Rządowej
Spraw Wewnętrznych i Duchownych w Warsza-
wie, w randze pułkownika był Sergjusz Mucha-

now. Młody ten człowiek, o lat kilka od niej młodszy, pokochał ją od pierwszego wejrzenia i kochał przez dwa lata tak stale i oddanie, że w końcu wzruszył serce tej kobiety. Oceniła je-go niezwykłe przywiązanie, jego dobroć, delikat-ność, poświęcenie się jej w czasie choroby, przy-jazny i uczciwy względem Polski stosunek. Gdy umiera Jan Kalergis, godzi się na powtórne mał-żeństwo, jakkolwiek uważa je za niestosowne i ekscentryczne ze względu na różnicę wieku i warunki życiowe, a przedewszystkiem dlate-go, iż nad życiem swem osobistem postawiła krzyżyk. Wypadek ten, który zdumiał całą Eu-ropę, odbył, się we wrześniu 1863 r. W ulubio-nym swym Badenie, biała dama, piękna i mło-da babka, zostaje żoną tego, którego nazwała najpierw prawdziwym dżentelmenem, a potem nazywać będzie aniołem. A na dżentelmenach chyba się znała, tak bardzo uwielbiana i ukocha-na kobieta...

Ojciec Marji obawiał się, że z chwilą gdy straci ona nazwisko, które uczyniła w Europie sławnem, straci też swe stanowisko. Pani de Stael w podobnym wypadku zachowała swoje (aby Europa się nie wykoleiła). Obawy hr. Nes-selrode były płonne. Pani Muchanow dalej by-wa na obiadach u królów, gra wielkim książę-tom i w swej, właśnie ukończonej willi „Kaler-

gis", przyjmuje artystów. Trochę się też lękał, czy córka jego — nie znał kobiety, tak mało stworzonej na żonę, jak ona, — potrafi znieść kajdany małżeńskiego pożycia. Zniosła je — na razie nawet radośnie. Tembardziej, że mąż jej uważa się za najszczęśliwszego na świecie człowieka. Na razie, bo zaszedł wypadek, który zasmucił cała kochającą się rodzinę. Marja wpadła w lekką melancholję, spadek to po matce, i przez parę miesięcy przebywa w Bawarji, w sanatorjum, odosobniona od świata, tylko pod opieką lekarzy i męża. Powody tej choroby znane są nam z dość pewnego źródła, bo z opinji jej ojca i świadczą one pochlebnie o stosunku Marji do Polski. Wypadki w kraju wstrząsnęły nią silnie: „Ach ta Polska, mówiła, dnie i noce spędzam we łzach." I wtedy przyjść jej musiała myśl o zdradzie, jakiej się w takiej chwili względem ojczyzny dopuściła. Krew polska w jej żyłach silniej, niż kiedy biła, a wyszła za mąż za rosjanina i prawosławnego.

Ale Marja była zawsze wdzięczną duszą. To też gdy zdrowie jej uległo zmianie na lepsze, żalu do męża za swój krok nie czuła przeciwnie jemu przypisywała swe ocalenie.

Po powrocie do zdrowia Marja jedzie na czas jakiś do Paryża, znów bywa w wielkim świecie, ubiera się u Wortha, przyjmuje wiele, ale nad życie światowe przekłada godziny spędzane przy fortepianie,—ten kochany Sergjusz dał jej ślicznego Pleyel'a, — i godziny spędzone z książką. Czyta bardzo wiele, połyka całe biblioteki i nie jak dawniej, poetów, ale filozofów. Kant Schopenhauer, Platon, to jej obecni towarzysze. Ubolewa że tak mało umie i że już się nigdy niczego nie nauczy. Jesteśmy w dobie pozytywizmu, kiedy to dawne romantyczki pragną wiedzy i tylko wiedzy. Kręci się znów po świecie i raz nawet zabłądziła do Warszawy, która przyjmuje ją bardzo owacyjnie, jakkolwiek w czasie powstania wyrzekła się jej i niemal wygwizdała. Zresztą wkrótce Marja przenosi się znów na stale do Polski. W 68 roku mąż jej powraca do czynnej służby i zostaje mianowany Dyrektorem Teatrów i Pałaców Cesarskich w Królestwie Kongresowem. Wybór ten stolica bardzo sympatycznie przyjmuje, pierwsza to od lat dziesięciu nominacja wyższego urzędnika, która znalazła aprobatę ogółu. Pan Muchanow jest dyrektorem, a pani Muchanow oficjalnie zostaje dyrektorową, w żargonie zaś

teatralnym nazywają ją „matką artystów". Rzeczywiście zajmuje się bardzo teatrem, baczy na wybór sztuk, chodzi na próby i premjery, a pozatem otacza wszystkich swoją opieką, dba o chorych i biednych, nieraz sama cierpiąca, wchodzi na trzecie pięterko, by się dowiedzieć jak pupil się miewa.

Warszawa po powstaniu pragnie spokoju, więc wita życzliwie działalność państa Muchanowych. Prasa znów się rozpływa w zachwytach nad Marją a ktoś się wyraził, że gdyby miała wroga, byłby zgubiony w opinji publicznej i na każdy jej rozkaz wygnany z kraju. Marja wiele teraz przyjmuje, w niedzielę przyjść może każdy kto chce, w inne dni zbierają się bliżsi znajomi. Kiedyś się chlubi ona, żona dygnitarza rosyjskiego: „Co za powodzenie, nie było ani jednego Moskala!" Prócz tego daje wspaniałe obiady, zaprosiła panią Helenę Modrzejewską którą właśnie Muchanow zaangażował do teatru, często odbywają się koncerta, przy jej i wybitnych artystów udziale.

W pierwszy dzień Wielkiejnocy urządza dla personelu teatralnego święcone, które przeszło swą wspaniałością wszwstkie, jakie w Warszawie od lat wielu urządzano. Ksiądz Bagieński starym obyczajem pobłogosławił stoły zastawione suto mięsiwem, ciastami napojami, i

osypane kwiatami. Gospodarze domu dzielili się tradycyjnem jajkiem, i zapraszali do jedze- nia. Byli artyści operowi, niektórzy członkowie orkiestry, literaci, dziennikarze, prima bale- ryny ładne i zgrabne, a zachowując się, zdaniem Marji, lepiej niż nie jedna panna z towarzyst- wa). Muchanow swym stentorowym głosem pił za zdrowie artystów, a senator Kornicki wzniósł na cześć pani domu toast, któremu towarzy- szyły okrzyki entuzjazmu.

Wiek wreszcie zrobił swoje, ale sława jej piękności żyła dalej, a czar duchowy działał tak silnie, iż słusznie mówił Liszt, że nigdy nie była tak uroczą i zachwycającą, jak gdy z twa- rzy uleciała młodość. W owe czasy wyglądać musiała tak jak na słynnym portrecie Lenbacha (1869). To już nie piękna kobieta, zalotna i we- soła, tylko starsza dama, o twarzy bardzo ła- godnej, uśmiechu dobrotliwym, oczach melan- cholijnie przysłoniętych, w czarnych koronkach na przybladłem złocie włosów, w czarnej nie białej jak dawniej sukni, z krzyżem na pier- siach. Do tego przedwczesnego postarzenia przczynił się niemało zły stan zdrowia, gdyż od r. 65 pojawiać się poczęły pierwsze oznaki choroby, która ją o śmierć przyprawiła. Były to jakieś nerwobóle w nodze, tak przynajmniej określiła to medycyna, — nie znajdując zresztą

żadnego lekarstwa, istotnie skutecznego. Wysyłają ja ciągle do „badów". Jest to lepiej, to gorzej. Ale bywały momenty bardzo złe, Marja musi leżyć, lub chodzi o kuli. W czasie silniejszych ataków usuwa się od świata, nie chce widzieć nawet córki, którą tak bardzo kocha, ani męża, który ją tak bardzo kocha. Uważa to, za kokieterję ze swej strony, ale nie chce.

W tych znów koczowniczych, teraz już z musu, ostatnich latach życia, Marja jak zawsze wszystkiem się zajmuje — polityką, sztuką, dobroczynnością. Zmienia swe sympatje polityczne, entuzjazmuje się jednak ciągle do kogoś z działaczy, gdyż wojny i pokoje zajmują ją jedynie ze względu na biorące w nich udział osoby. Wita radośnie każdą nową operę Wgnera, jeździ na koncerta Liszta, nowy religijny kierunek jego muzyki odpowiada bardzo jej nastrojowi. A z tem wszystkiem tęskni do Warszawy, do swoich chorych i ubogich, a gdy jest tam, zapomniawszy o zdrowiu, znów o wszystkich potrzebujących myśli. Przebolała silnie śmierć Moniuszki i pomagała mężowi w urządzaniu uroczystości żałobnych; i jakkolwiek chora kwestuje w zimnym i wilgotnym kościele bez przerwy, od 9 rano do 7 wieczór. Bo przecież te biedne Wizytki od chwili zamknięcia klasztorów tak potrzebują pieniędzy. Zanadto siebie ko-

chała, teraz chce umrzeć w sobie, a żyć dla in-
nych; zawdzięcza to mężowi który jest tak
dobry, i ona pokona swą naturę: będzie
lepszą, dobrą. Stało się to co przewidywał
Norwid mówiąc, że: gdyby kobieta świata jed-
nym końcem trzewiczka atłasowego dotknęła
tej sfery życia zrozumiałaby, co jest cały dra-
mat smutnej i świetnej jej historji". Zrozumiała,
ale było późno, życia nie mogła na nowo za-
cząć. Choroba jej czyni postępy. Już wiadomo,
że to jest rak. Choroba brzydka, nieestetyczna.
Marja czuje, że to kara za pychę całego jej ży-
cia... Czuje też, że się nie wyleczy. Choć Ser-
gjusz nie chce wierzyć w bliskość jej zgonu.
Ona pragnie śmierci. Jest gotowa w każdej
chwili. Spowiada się często i odbywa z księ-
dzem Goljanem długie konferencje. Przychodzą
dni takłego cierpienia, że marzy o śmierci-
wybawicielce, która przyniesie kres jej mękom
a także innych uwolni od niej. Chce „żeby Ser-
gjusz o niej zapomniał — jak najprędzej. „Żyj
pełnią życia", prosi, uśmiechając się blademi
ustami. Niech spadnie na cię nagroda za to
dobro co mi dałeś". Gdy widzi iż koniec się zbli-
ża, prosi o ostatnie sakramenta a słabnącym
głosem powtarzała modlitwy. Krucyfiks, który
trzymała w ręce oddaje mężowi, ze sołwami:
„To dla córki". Zaraz potem zaczęło się kona-

nie, które trwało godzinę. Koniec przyszedł cichy i spokojny (24 maja 1874 roku.)

Tak umarła Marja Kalergis — Muchanow która mylnie o sobie mówiła, jak człowiek często się myli, gdy mówi o sobie: „Jestem kobietą i wszystko co kobiece jest mi obce."

Pogrzeb tej wielkiej damy, wielkiej artystki, co łączyła w sobie urok sarmackiej kobiety z łagodnością germańskiej Tusneldy, odbył się przy udziale całej Warszawy, choć prosiła by obrząd miał miejsce o 6 rano, gdy ulice będą jeszcze puste... Spoczęła na Powązkach, w grobie ojca, którego przed kilku laty opłakała, jakkolwiek chciała znaleść wieczne mieszkanie wraz z ubogimi, w sekcji III klasy. Inne jej prośby lepiej spełniono. Pochowano ją, jak sobie życzyła, w czarnej, skromnej sukni a trumnę białą, z sosnowego drzewa, wiózł, jak chciała, bez kwiatów, jednokonny-karawan. Mówiła, że pragnie spocząć pod kamieniem, bez żadnego napisu. Tak się też stało. Dopiero w parę lat potem dał go, niewiadomo kto, i dziś na grobowcu rodzinnym, obok pięknego, męskiego biustu, widnieją sołwa: Graf Friederich Karl Nesselrode (1786-1868) Seine Tochter Marja ruht bei ihm.

Pamięć Marji, która sama artystka była protektorką artystów, została uwieczniona w godny jej sposób. W parku weimarskim przy

współudziale królów i książąt odbył się ku jej czci koncert, który wypełniły dzeła Liszta. Śpiewano jego Requim, jego legendę o świętej Cecylji, w końcu sam twórca odegrał „Elegję“ na śmierć przyjaciółki i wielbicielki skomponowaną. I wtedy zdawało mu się, że cień jej widzi: „Przesunęła się marząc, szukając, urzeczywistniając Ideał Piękna i Dobra.“

NOWOŚCI

Polecamy naszym Prenumeratorom nową powieść Pierre Benoit p. t. „Albertyna". Powieść ta, będąca ciekawem studjum psychologicznem kobiety współczesnej, rozeszła się w Paryżu w przeciągu jednego miesiąca w 440 tysiącach egzemplarzy.

Kartę tytułową rysowała M. Berezowska.

Całość w 2 tomach po 95 groszy za tom.

NASTĘPNA KSIĄŻECZKA

Nr. 57.

Z cyklu „Teatralnego"

HANNA SKARBEK

ELEONORA DUSE.